№ 49. Warszawa, dnia (21 Listopada) 3 Grudnia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3 Na prowincyi mar. 3. pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50.

Tygodnik Mód i Powieści

wychodzić będzie w roku przyszłym 1899-tym pod tą samą redakcyą, wierny zasadom, którym służył przez lat czterdzieści swego istnienia, starając się zarazem o przyswojenie tego, co nie ubliżając myśli przewodniej założyciela i jego następców, stanowi warunek obowiązującego doskonalenia treści i strony zewnętrznej wydawnictwa.

Jak dotąd tak i nadal mieć będzie na widoku redakcya poznajamianie czytelników swoich ze wszystkiem, co duch czasu w różnych dziedzinach przyniesie ze sobą: zadań do spełnienia, pracy użytecznej do podjęcia, myśli podniosłych do wprowadzenia w życie — jak dotąd wskazywać będziemy w życiu zbiorowem swojem i obcem, to co nam przekonanie za ujemne i szkodliwe uznać nakazuje, bez uciekania się do osobistości, bez prywaty i stawania wpoprzek cudzej pracy, podjętej w imię zasady i z myślą ogólnego dobra.

Służyć pragniemy najogólniej rozumianym dążeniom ku światłu i prawdzie, z pominięciem koteryjnych względów i osobistych wyrachowań.

Tyle co do programu i treści pisma na przyszłość.

Co się tyczy szczegółów, za konieczne uważamy nadmienić, iż prenumeratorowie nowi będą mogli mieć na żądanie całość wyszłych dotąd w „Tygodniku“ aż po rok nowy 1899 kompletów „Wyzwolonej“ i „Alkhadara“ za dopłatą kop. 15 za numera pierwszej i 35 kop. za komplet „Alkhadara,“ wyrażając zarazem nadzieję, że forma książkowa, o którą się dopominają czytelnicy, dla powieści obszerniejszych, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przywróconą zostanie.

Mając w tece redakcyjnej przygotowane, albo przyobiecane prace: Gomulickiego, Konopnickiej, Rodziewiczówny, Miriama, Or-Ota, Langego, Glińskiego i wielu innych, przekonani jesteśmy, że zdołamy zadośćuczynić obowiązkowi, jaki wkłada na nas rozszerzające się ciągle koło czytelników naszych.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Cena „Tygodnika“ pozostaje niezmienioną, a mianowicie:

w Warszawie kwartalnie ***rs. 1.***
z przesyłką pocztową kwart. ***rs. 1 kop. 25.***
Za odnoszenie do domu kwart. ***kop. 10.***

Redakcya.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH
Hoffmanowa.

Jednej z najbardziej zapomnianych za dni naszych poświęcamy te kilka słów w stuletnią rocznicę jej urodzin, których datę podają nam na 23 Listopada 1798 r.

Mówimy „zapomnianej,“ pod adresem starszego pokolenia kobiet naszych, bo co się tyczy młodej — ostatniej generacyi, to ona zaledwie wie, że istniała na świecie ta postać niewieścia, która jednak zbyt wiele pozostawiła po sobie śladów dodatniej działalności, i zbyt wiele znaczyła w swojej epoce, iżbyśmy jej imię z rozmysłem niepamięci oddawać mieli.

Zła to jest wogóle metoda taka, stosowana względem tych, którzy nas poprzedzili w pracy na jakiemkolwiek polu — w danym jednak wypadku ignorowanie takich zasług, jakie w swoim czasie w sprawie wychowania kobiet położyła świętej pamięci Hoffmanowa wychodzi niewątpliwie na prostą niewdzięczność. Uprzytomnijmy sobie tylko należycie stan umysłowy epoki, w której wystąpiła ona na widownię jako przewodniczka młodego pokolenia kobiet; osądźmy obłędność cudzoziemskiego wychowania, pod którego przemocą próchniała literalnie społeczność ówczesna, a zrozumimy odrazu szlachetność tych usiłowań i tej wielkiej pracy, jaką włożyć musiała wzorowa obywatelka w dzieło swoje — w dzieło, w którem mówiąc właściwie, wszystko było do zrobienia, w którem ona była bez poprzedniczek, bez przykładów, wzorów i szkoły. Niezapominajmy nigdy, że obudzenie zamiłowania do języka własnego i jego piśmiennictwa, zawdzięczamy kobiecie, która odebrawszy sama wychowanie cudzoziemskie, musiała zerwać z bałwochwalczym

przesądem francuzczyzny, niezapominajmy, że ona była inicyatorką, że torowała drogę, a damy raz na zawsze pokój z pewnością rozmaitego rodzaju pobłażliwym ocenom, z jakiemi odnośnie do tej, ze wszelkich miar godnej uznania działaczki, niejednokrotnie nam się już spotykać przyszło. Nic tam u niej niema wstecznego, jeśli zważymy poziom umysłowy i etyczny tych, do których słowem i czynem przemawiała Tańska — niema nic wstecznego, bo to wszystko, co ona w swoim czasie zalecała, była na ową epokę nowem i pożądanem, i rozumnie postępowem. Zachwaszczają się niekiedy w niepojęty sposób niwy pracy społecznej, a niemowlęctwem ze strony potomnych prawdziwem, jest surowy sąd krytyczny względem tych, którzy najtwardszą i najgrubszą robotę od a, b, c rozpoczynać musieli. Zamiast sądzić pracę takich jak Tańska pracownic społecznych, baczmy pilnie, aby nam kiedyś ci, co po nas przyjdą, nie zrobili zarzutu, żeśmy i my także zjałowione pod wielu względami pozostawili niwy po sobie.

W tem oświetleniu postawiwszy pedagogiczną, obywatelską a nawet literacką działalność ś. p. Klementyny Hoffmanowej, odrazu zrozumimy dlaczego była ona przedmiotem czci najwybitniejszych ludzi swojej epoki, dlaczego świeciła jako przykład godny naśladowania i zkąd poszło, że rodzice pragnący wychować córkę na dobrą obywatelkę swojego kraju, szli do niej po wskazówki i kierunek.

Pierwszą jej pracą literacką na większą skalę stanowi „Pamiątka po dobrej matce” wydana w r. 1819. Po niej w ciągu lat pięciu wychodziły „Rozrywki” jako wydawnictwo miesięczne (od 1824—1828 włącznie). Nie należy pomijać milczeniem, że w tych „Rozrywkach” ukazał się „Dziennik Franciszki Krasińskiej,” który przy dzisiejszych nawet pojęciach o technice pisarskiej, teraźniejszych wymaganiach, i wyższem o wiele niż w epoce Tańskiej wyrobieniu smaku literackiego, uchodzić może za pracę niepośledniej wartości. A jakkolwiek taki naprzykład epizod z życia domowego Jana Kochanowskiego nie dorównywa zdaniem powszechności „Pamiętnikowi,” to przecież i tam mimo niedostatków w kolorycie, i usterków historycznych znajdziemy, i psychologię konsekwentną, i grozę, a nawet tragizm wysoki w oddaniu chwili zgonu Urszulki. Od talentu twórczego Klementyna Hoffmanowa odsądzoną nie będzie z pewnością, mimo uporczywego pomijania jej przez umysły pewnych współczesnych nastrojów i kierunków.

Do tej samej epoki co „Jan Kochanowski” liczą się dwie powieści: Karolina i Krystyna, które przy ówczesnym stanie belletrystyki niedziw, że pociągały czytającą publiczność i literalnie rozrywane były u nas.

Wraz z mężem opuściła kraj Klementyna Hoffmanowa po roku 1831; czas jakiś przebywała w Dreznie, następnie we Francyi i tam w Passy pod Paryżem zakończyła swój chrześcijański, dobru ogólnemu poświęcony, żywot dnia 19 Września 1845 roku.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

— Zajmiesz się dziś, Wando, gospodarstwem—odezwała się do wchodzącej, postękując.—Marysię trzeba posłać do miasta; (pamiętaj, że dziś post, ale dla ojca musi być oddzielnie kawałek polędwicy w rondlu duszonej); praczka ma dostać drugie śniadanie (nie dawaj samej anyżówki, ale wymieszaj ją z okowitą, co stoi w śpiżarce, obok słoja z rydzami); kucharka niech złoży rachunek z wczorajszego rubla i z dzisiejszych trzech rubli. Jeżeli masło tanie, trzeba wziąść trzy funty. A uważaj, żeby ser nie był z kminkiem, bo ojciec takiego nie lubi. Z praczki oka nie spuszczaj, bo to leniuch baba. Ma zwyczaj niedopierać; przytem mydło kradnie i w to miejsce sypie sodę bez miary.

Po chwilowej przerwie, spowodowanej przykładaniem świeżej „fajerki,” dodała jeszcze:

— A nie zapomnij dolewać do wódki trzecią część wody.

Wanda oszołomiona tem wszystkiem, wzięła machinalnie klucze od śpiżarni, licząc, że pomoc kucharki pomoże jej wybrnąć z kłopotu. Na odchodnem usłyszała jeszcze ironiczne upomnienie:

— A nie zróbże mi wstydu, ty medalowa panno. Pokaż, że choć na cokolwiek przydać się możesz!

Z rachunkami i dyspozycyą obiadu poszło Wandzie jako tako. Przyrządzając wódkę dla praczki, pomyliła się: zamiast okowity wzięła spirytusu mrówczanego, o wodzie zaś zupełnie zapomniała. Szczęściem, wytrawne gardło starej pijaczki, choć poczuło różnicę, nie było jej przeciwne.

Najgorzej było z obowiązkowem siedzeniem w kuchni. Mdlące wyziewy mydła, pomięszane z parą wodną i odorem śledzia z cebulą, zatamowały oddech nieprzywykłej do nich dziewczynie. Zrobiło się jej słabo i byłaby zemdlała, gdyby doświadczona kucharka nie podsunęła jej pod nos butelki z octem.

Co chwila matka przywoływała ją do siebie, zarzucając pytaniami, wydając nowe rozkazy, odwołując dawne—nie szczędząc przytem przycinków, wymówek i urągań.

Obiad był niegodziwy. Śmietana w zupie grzybowej miała gorycz piołunu; w pierożkach z serem znalazły się niewiadomo zkąd ziarnka kminu; polędwica przypaliła się. Dalewicz, który ze względów hygienicznych unikał irytacyi przy jedzeniu, milcząc przeszywał córkę piorunującemi spojrzeniami, które ją odrętwiały jak wzrok Meduzy. Na domiar złego, Popiołkowi zwykle gadatliwemu, ciągły kaszel nie pozwalał mówić; nic więc nie rozjaśniało ponurego nastroju obiadu.

Matce po obiedzie zrobiło się gorzej, i temu tylko zawdzięczała Wanda uniknięcie gwałtownych wymówek. Ale i bez nich dręczyło ją niezmiernie przykre uczucie własnej bezsilności. Chwilami wyobrażała sobie, że jest naprawdę istotą niedołężną i bezużyteczną, i sama przed sobą wstyd uczuwała.

Nowym powodem zmartwienia stało się dla niej spostrzeżenie, że służba za nic jej nie ma. Praczka upiła się i wyprawiała hałasy, które aż do pokoju matki dochodziły; kucharka nie pozmywawszy talerzy, pod pozorem nieszporów pobiegła na tańce. Wszystko w domu szło krzywo, bezładnie—rozprzęgało się.

Woń mydlin napełniała wszystkie pokoje; na podwórzu nawet czuć ją było. Cała Wanda wonią tą przesiąkła. Gdy świeżą różę, przez Popiołka przyniesioną powąchała, mdłości ją ogarnęły, bo i tę różę czuć było szarem mydłem.

A dzień był gorący, parny i ani jeden powiew wiatru nie odświeżał powietrza. Całe miasto zatopione było w nieruchomej fali przykrych, duszących miazmatów, wyziewanych przez ścieki, śmietniki i zanieczyszczoną odpływami rzeźni, rzekę.

Wanda chodziła jak automat, blada, odrętwiona, z głową ciężką jak z ołowiu. Dokuczała jej silna migrena; pulsa w skroniach biły gwałtownie; miała szum w uszach i zawroty głowy. Kilkakrotnie była blizka utraty przytomności.

Doświadczała samych przykrości. Ulicznik wybił szybę w jej pokoju. Pośliznęła się na rozlanych mydlinach i upadła, tłukąc sobie boleśnie kolano. W przyniesionej z miasta reszcie brakowało dwudziestu kopiejek, a dwie monety okazały się fałszywemi. Z pokoju matki dochodziły jęki, z pokoju ojca—miarowe skrzypienie butów, mówiące o złym humorze ich właściciela. Praczka w kuchni wyśpiewywała głośno ordynarne piosneczki.

Popiołek zaraz po obiedzie wyszedł na miasto i nie wracał.

Pod wieczór, zdenerwowanie Wandy doszło do takiego stopnia, że już go żadną siłą opanować nie mogła. Czując, że ją zwycięża atak nerwowy, rzuciła wszystko i wybiegła na ów placyk pusty przy domu, zarosły miętą i pokrzywami. Zaledwie tam się znalazła, padła bezwładnie na trawę i wybuchnęła płaczem spazmatycznym

W tym bolesnym napadzie, którego nigdy dotąd nie doświadczała, z wielką wyrazistością przedstawił jej się pewnik, że ma do wyboru dwie tylko rzeczy: śmierć albo ucieczkę z domu.

Była zbyt młodą, aby się wahać w wyborze. Instynkt zachowawczy kazał jej za jakąbądź cenę—żyć.

Gdy atak przeminął, podniosła się z trawy i nadzwyczaj osłabiona na klocach usiadła. A w tejże chwili zjawił się przed nią Popiołek. Niewiadomo, czy student słyszał jęki spazmującej panny; cokolwiekbądź, niczem nie dał poznać, aby tak było.

Trzymał on w jednej ręce czapkę, w drugiej chustkę wielką, którą ocierał oblane potem czoło i policzki. Tak samo jak na majówce, mokre i pozlepiane włosy na głowie i brodzie, czyniły go podobnym do wyciągnionego z wody topielca.

Jak zawsze, uśmiechał się wesoło i miał minę wyzywającą.

— Dobry wieczór! Ot, i zeszli my się tu znowu—zawołał zdaleka czapką machając.

Niezrażony tem, że Wanda nie odpowiada, ciągnął dalej:

— Strasznie głupia rzecz ten ludzki rozum! Ludzie Amerykę odkryli, proch wynaleźli, naturę poprawiają i z Panem Bogiem się kłócą, a jak im gorąco, to sobie deszczu sprowadzić nie umieją. Taki już nasz los. Z rozumem nic nie poradzisz, a bez rozumu — dyabli cię wezmą.

Zaczął się śmiać, ale powstrzymał nagle wesołość, strapiony upartem milczeniem panny.

Chciał odejść, gdy nagle zerwała się ona, szybko doń podbiegła i za rękę chwyciła.

— Bracie — szepnęła dziwnym, nieswoim głosem—pożyczkę twoją przyjmuję.

— Przepięknie!—zawołał odzyskując wesołość. Część zaraz wypłacę, na resztę wystawię weksel. Płatny będzie na święty Michał, w moje imieniny, tu, w Warszawie, w Paryżu, na wyspie Sumatrze, na Czuchockim nosie, lub gdzie się pannie Wandzie podoba.

— Ja bratu również wystawię prawny przekaz na swoją sumę — odezwała się Wanda z wielką powagą.

— Można i tak. Moja matka wszystko zapisuje na papierze herbowym, ze sztempelami—trzeba ją naśladować. Ale czemu siostra masz takie rozpalone dłonie? To niedobrze. Radzę napić się herbaty z cytryną i pójść do łóżka.

— Nic mi nie jest. Już przeszło.

Z temi słowami wyprzedzając Popiołka, powróciła Wanda do domu.

A tam już wrzała burza. Złość pomogła kasyerowej lepiej niż gorące fajerki. Zerwała się z łóżka, a spostrzegłszy nieład domowy, jęła wyrzekać w niebogłosy na swój los nieszczęsny. Rozumie się, że największa ilość wyrzekań skierowana była w stronę „wyrodnej" córki, która kosztowała „tysiące," a teraz „darmo je chleb w domu."

Ale Wanda słuchała tego z najwyższą obojętnością. W duszy jej rozegrała się już walka i nastąpił przełom ostateczny. Głucha na wszystko, zamknęła się w swoim pokoju, umyła twarz, i głowę wodą z lodem, potem wypiła pół syfona wody sodowej i położyła się do łóżka. Zasnęła też odrazu tym kamiennym, pokrzepiającym snem, jakim zasypiają siedemnastoletnie dziewczyny—o ile nie są zakochane.

Stary Kobuz, profesor matematyki i geografi matematycznej, mieszkał za miastem. W ciągu roku szkolnego widywano go tylko w przejściu pomiędzy gimnazyum męzkiem i żeńskiem, oraz na drodze wiodącej do jego mieszkania. Na czas wakacyi zupełnie znikał, tak, że zdawało się, iż na świecie go niema. On jednak na krok z X. nie wyjeżdżał, i zamknięty w swoim ustronnym domku—pracował.

Kobuz pracował zawsze. Pracował pomimo siedemdziesięciu przeszło lat wieku; pracował pomimo pewnej zamożności, pozwalającej mu na byt spokojny i odpoczynek; pracował, pomimo że posiadał zasób wiedzy wprawiającej w podziw najtęższe głowy X skiej gubernii.

Zdaniem tych, co bliżej go znali, stary profesor mógłbył, a nawet powinien był zająć oddawna katedrę uniwersytecką. Prowincya przedstawiała dlań zbyt szczupłe pole działania i popisu. Bez tego ostatniego znawcy gubernialni nie pojmowali żadnej zgoła działalności naukowej i autorskiej.

Kobuz nie miał żony, choć nikt nie wiedział napewno czy był wdowcem. Do X. przybył przed trzydziestu laty, i już wówczas wydawał się starym. Przybył, jak się zdawało, na odpoczynek po jakichś burzach przebytych i nie odrazu jął się nauczycielki.

Kupiwszy starą ruderę za miastem, przerobił ją na skromny domek mieszkalny, przy którym jednak zbudował wcale piękną spostrzegalnię astronomiczną Umieścił tam sprowadzone z Warszawy i zagranicy narzędzia, które zbudziły niesłychane zdziwienie wśród mieszkańców miasta gubernialnego.

Zamknąwszy się z narzędziami i książkami z nikim nie żył; czynił tylko spostrzeżenia, zapisywał je, i na tem zajęciu życie mu upływało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Sprawozdania literackie.

Edmond Rostand: Cyrano de Bergerac.

(Dokończenie).

W tej właśnie chwili zaczyna się bój; de Neuvillette idzie na szańce. Bergerac zostaje z Roksaną i nadzieją szczęścia. Ma właśnie wymówić słowo stanowcze, gdy pada pierwszy strzał... koledzy wnoszą konającego Krystyana.

Przed Bergerac'iem pierzchło znów widmo miłości. O umarłym on nie powie Roksanie, że kłamał, że był niedosyć intelligentnym, by umysł jej i poczucie piękna zadowolnić, że nie był tym poetą, za którego go poczytywała. Nie, Bergerac nie rozwieje jej złudzeń. Z głowy poległego nie zdejmie aureoli nie usunie go z pamięci jej i serca. Z rozpaczą w duszy rzuca się w bój i... nie ginie.

Piętnaście lat upłynęło od oblężenia Arras. Roksana zamknięta w klasztorze wciąż jeszcze opłakuje śmierć pięknego młodzieńca, którego miała za istotę wyjątkową. Bergerac odwiedza ją, przynosi jej wieści ze świata, cieszy się jej spojrzeniem, rozmową, uściskiem dłoni. To mu wystarcza.

Ubogim był zawsze, dziś jest uboższym. Zamiłowanie niepodległości, prawdomówność, zyskały mu cały zastęp potężnych, nieprzejednanych wrogów. De Guiche dotąd stale w ich rzędzie. Napadnięty przez nasłanych zbirów, Cyrano otrzymuje niebezpieczną ranę w głowę. Opuszczenie łóżka grozi mu śmiercią, ale on zwykłych odwiedzin u Roksany odłożyć nie chce. Staje przed nią ranny, ale jak zwykle z dowcipem na ustach, z miłością w oku. Rozmowa ich zwraca się na oblężenie Arras, śmierć Krystyana, jego listy. Roksana wydobywa ostatni splamiony krwią kochanka, i podaje Bergerac'owi. Zmrok coraz głębszy zapada, on czyta, on z pamięci mówi ten list pełen bezgranicznej czułości, to pożegnanie ostatnie, które wtedy układał dla Krystyana, a którem teraz już na wieki żegna ukochaną. Roksana spogląda na list, w ciemności nie znać liter, on nie czyta... i w tej chwili domyśla się wszystkiego, poznaje głos, który słyszała wtedy pod balkonem. Cyrano zaprzecza, ale słów własnych dziś utrzymać nie umie na wodzy, słowa jego mówią nie to, co chce on.

Bergerac słabnie, omdlewa, ale ostatnim wysiłkiem zrywa się i staje pod drzewem, chce umierać stojąc, chce w oczach jej pięknie umierać, umierać w boju. Dobywa szpady i walczy z widmem śmierci. Śmierć zwycięża.

Część powodzenia, jakie zdobyła sobie w Paryżu sztuka Rostand'a, przypisać należy jej specyalnie francuzkiemu charakterowi, tym pierwiastkom, które przemawiają do uczuć narodowych. Rostand pokazał w niej współrodakom swoim Francyę taką, jaka umarła już dawno, Francyę, którą rewolucya skazała na gilotynę, ale która mimo to, jako wspomnienie drogą być musi sercom patryotów. Zresztą ta Francya stara, choć umarła formą, duchem żyje dotąd, a przynajmniej żyła do niedawna, żyła w silniejszej nadewszystko miłości sławy, w bezinteresownem niesieniu pomocy słabszym i nieszczęśliwym, w płytkiem, wesołem, niekłopotliwem traktowaniu życia.

Te specyalnie narodowe cechy utworu czynią go jak wszystkie dzieła w tym rodzaju, jak trylogię Sienkiewicza, jak powieści Jokaja, Walter Scotta, Dumas'a, najmilszym współrodakom autora—mniej dostępnym, mniej pociągającym dla cudzoziemców.

Kto jednakże ma w duszy pierwiastek poczuć narodowych, ten oceni, ile uroku musi mieć dla Francuzów to grzebanie w popiołach przeszłości, jak porywać ich musi brawura, werwa, nawet samochwalstwo gaskońskie, galanterya rycerska, nieustraszoność, zamiłowanie niepodległości, honoru i t. d., i t. d., jak podoba im się scena pojedynku, w której Bergerac jednocześnie szermuje szpadą, i z dyablą werwą tworzy balladę, lub scena prezentacyi pułku gaskońskiego hrabiemu de Guiche, gdy Bergerac sypie perłami rymów, lub choćby dekoracya sama przedstawiająca stary, dziś nieistniejący już Paryż. To oblicze rodzinnego miasta wychylające się z mgieł przeszłości wzruszać musi czystej krwi Francuza.

Cyrano de Bergerac przełożony już został na język polski. Przykładu najeżonego niewypowiedzianemi trudnościami, dokonali Zagórski i Konopnicka. Przekład jest nierówny, niektóre fragmenta doskonałe, inne słabsze, zrobione jakoś niedbale!

Na próbę przytaczam tu niektóre wyjątki a mianowicie sceny, o których wspomniałam wyżej.

Oto ballada przy pojedynku, pod względem wdzięku i elegancyi nie mogąca mierzyć się z oryginałem.

Cyrano mówi illustrując słowa stosownym gestem:

Pełnym wdzięku ruchem dłoni
Rzucam moje w kąt manatki,
I płaszcz zwlekam, co mię słoni,
I... dobywam mojej szpadki.
Grzeczny, lekki, zwinny, gładki,
Trwam, mój aść, przy słowach mych,
Że przy końcu mej balladki
Tym szpikulcem dam ci sztych!.. i t. d.

Po francuzku brzmi to:

Je jette avec grâce mon feutre,
Je fais lentement l'abandon
Du grand manteau, qui me calfeutre,
Et je tire mon espadon;
Elegant comme Celadon
Agile comme Scaramouche,
Je vous previens cher Myrmidon
Qu'à la fin de l'envoi je touche!

A oto jak Bergerac przedstawia swych kolegów gaskońskich:

Gaskońskie oto są junaki
Carbon'a de Castel-Jaloux
Bezczelni łgarze, zabijaki,
Gaskońskie oto są junaki,
Tak dumny każdy, jak król jaki,
Bo w każdym łotr, lecz szlachty dwu;
Gaskońskie oto są junaki
Carbon'a de Castel Jaloux.

Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki,
Wąs rysi, głód wilczego kłu!
W puch walą podły gmin wszelaki,
Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki!
Ich kapelusze—to przetaki,
Lecz za to czub od dyabłów stu!
Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki,
Wąs rysi, głód wilczego kłu! i t. d.

Rondo to w oryginale brzmi:

Ce sont les cadets de Gascogne
De Carbon de Castel-Jaloux,
Bretteurs et menteurs sans vergogne
Parlant blason, lambel, bastogne
Tous plus nobles que des filous,
Ce sont les cadets de Gascogne
De Carbon de Castel Jaloux i t. d.

Są w utworze Rostand'a miejsca zrozumiałe dla każdego, mogące wzruszyć i podobać się czytelnikom bez różnicy narodowości. Takiemi są wszystkie sceny miłosne. Miłość Bergerac'a pełna zaparcia się, pełna wyrzeczenia, beznadziejna, a silna, nie jak śmierć, ale jak życie, bo do końca życia trwająca, jest tak niepodobną w niczem do tego, co dzisiejsi powieściopisarze francuscy nazywają miłością, że musiała podziałać na nerwy Francuzów, jak coś świeżego, nowego, oryginalnego, musiała pociągnąć ich swym idealnym, niezmysłowym charakterem.

Ta pieczęć milczenia, którą po śmierci Krystyana dobrowolnie nakłada Cyrano uczuciom swoim, czyni postać tę początkowo komicznie bohaterską, szczerze wzniosłą przy końcu.

Jednym z najładniejszych fragmentów jest scena, gdy przy oblężeniu Arras zgłodniałym, zniechęconym, zdemoralizowanym gaskończykom, Bergerac dodaje otuchy. Woła starego pasterza gaskońskiego, by tym junakom na swojej fujarce gaskońską piosenkę zagwizdał. Nostalgią usypia ich głód. W wolnym przekładzie mogłoby to brzmieć:

Słuchajcie tej melodyi! o ona wam znana!
Nasz pasterz na fujarce gcywa ją co rana.
Czy z dźwiękiem tej piosenki nie stają przed wami
Błonia, doliny kwietne, lasy, nad wodami
Zieleń łąk? To szum rzeki! To mgła ranna biała.
Słuchajcie gaskończycy! To Gaskonia cała!

Nie uważając sztuki Rostanda za arcydzieło, stanowiące epokę w literaturze, wyznaję, że zrobiła na mnie wrażenie puharu napełnionego zdrowym, chłodnym, musującym napojem. Dobrze jest wśród spiekoty życia przytknąć od czasu do czasu usta do takiej spienionej czary.

H. C.



JEDEN Z NIEZNANYCH.

Wspomnienie.

(Dokończenie).

Pięć lat minęło od tego małego epizodu pobytu w Wólce, który sam przez się zasługuje na uwagę tylko jako prolog do jednego z najmisterniejszych powikłań życiowych, na jakie sam przypadek wszechmocny zdobyć się może. Bez tej usługi, jaką oddał tutaj ten psotnik potężny, udaremniający bardzo często najsubtelniejsze wyrachowania ludzkie, tajemnica monomanii, melancholii, czy obłąkania biednego Augusta, byłaby niewątpliwie zstąpiła z nim razem do grobu. Inaczej napisanem było, jak się pokazuje.

W ciągu tych lat kilku zapomnieć mi przyszło o niejednym ważnym fakcie; zatraciła się pamięć wielu serdecznych stosunków, jakże się tu dziwić, że cicha, gdzieś wśród borów ukryta Wólka wraz z jej mieszkańcami, jak w przepaść zapadła się poza mną. I gdyby nie imię i nazwisko tego desperata Augusta D., z którem się przed kilku miesiącami w rubryce nekrologii jednego z dzienników spotkałem, z pewnością największą te kilkanaście dni mego życia nigdyby mi na myśl i teraz nie były przyszły.

Krótkie to, widać nadesłane, było owo wspomnienie pośmiertne. Oprócz wieku lat 32, mowa tam była o długich i ciężkich cierpieniach, o przerwanym zawodzie literackim, co już jedynie na karb siostrzanej miłości policzyłem czytając, bo przecież sami braterstwo zmarłego wzmiankowali, że nic on dotąd drukiem nie ogłosił. Ha! jeden więcej zawiedziony aspirant do sławy, pomyślałem przelotnie, i oprócz kilkunastu minut wspomnienia, które przed snem tej rodzinie poświęciłem, czułem, że nie prędko znowu myślą do niej powrócę.

Stało się inaczej. Pewnego ranka bez żadnego powodu stanął mi na myśli August D. i przez dzień cały chodził on za mną jak żywy, tak, że się dziwiłem w końcu jakim sposobem do tego przyszło, i tu właśnie rozpoczyna widocznie dzieło swoje ów przypadek, o którym mówić chciałem.

Zaledwie zmrużyłem powieki tego wieczoru, obudziło mię wejście służącego, który zapalając świecę przy łóżku, wręczał mi jednocześnie sztafetą doręczony telegram z odległej stacyi drogi żelaznej. Sprawa była pilna, niecierpiąca godziny zwłoki, zamiast tedy pofolgowania chęci pożądanego spoczynku, musiałem jak najspieszniej gotować się do podróży, i zanim godzina minęła, w ciemną Listopadową noc zdążałem do kolei. Było przedemną dobre pięć godzin drogi końmi, następnie pół dnia jazdy drogą żelazną, a jeszcze potem jakieś trzy do czterech mil najcięższej i najprzykrzejszej podróży wózkiem, jaką sobie wyobrazić można. Materyał zatem do rozpamiętywań był dostateczny; odrazu sama przez się nasuwała mi się teraz sposobność ujrzenia znowu tej okolicy, którą przed laty pięciu w tak odmiennych warunkach oglądałem—okolicy, której klucz stanowiła właśnie ta nad rzeką, na skraju wielkiej lesistej puszczy położona Wólka.

— Trzeba będzie tych ludzi odwiedzić — pomyślałem — niezupełnie ja wywiązałem się względem nich z obowiązku grzeczności podówczas, dobrze tedy, że się naprawi to, co może młodzieńcza szorstkość obejścia, jako niesympatyczny ślad pozostawić tam mogła.

Bytność zatem w Wólce weszła w program podróży mojej.

Na stacyi, znowu rozmyślania innej natury. Jak tu przepędzić w wagonie te dziesięć blizko godzin jazdy. Rozmów przygodnych z ludźmi nieznajomymi nienawidziłem zawsze; przez zamglone szyby w słotny jesienny dzień, niepodobna mi było liczyć po sto razy w życiu oglądane już wioski, lasy, budki dróżnicze i telegraficzne słupy, jakże tedy rad byłem, kiedy równo z brzaskiem dnia otworzył na stacyi chłopiec szafę z książkami, i piskliwym głosem zaczął zwracać na nią uwagę wszystkich spożywających ranną herbatę.

W parę minut znalazłem się przy tej przenośnej księgarni. Ani mogłem jednak oglądać, namyślać się i wybierać; pierwszy dzwonek już się odzywał, więc i pierwsza czterema kolorami upstrzona okładka ze skośnym tytułem „Inflamatus,” zwróciła moją uwagę i temu nieznanemu utworowi, o którym jednak zdało mi się, że bodaj coś między recenzyami dziennikarskiemi czytałem niedawno, powierzyłem urozmaicenie i rozrywkę mojej podróżnej nudy.

Zaledwie się jednak umieściłem w zacisznym kątku wagonu, i zabrałem do tej lektury; po kilku stronach przyznać musiałem, że zbyt zagmatwaną łamigłówkę wybrałem sobie tym razem. Ale bo co też to i za chaos niepojęty panował tutaj! Niby poemat jakiś prozą, ale prozą poetyczną pisany, tylko że jednolitości, ciągu, założenia, rozwiązania, bo i do tego w końcu książki zajrzałem zniecierpli-

wiony — ani szukaj. A przytem zlepek to był jakiś, coś szczególnego, niebywałego, gdzie na każdej stronnicy spotykałeś natchnienie i polot myśli, przy najudatniejszej formie, a tuż, tuż obok — dwa wiersze poniżej, jakaś pospolitość, jakiś wybryk, niby zgrzyt niepojęty—ni przypiął, ni przyłatał— jak to mówią.

— Drwiny z czytelnika, czy co, u biesa!— wykrzyknąłem ze zniechęceniem, i złożyłem książkę do mojej torby podróżnej, postanowiwszy sobie jednak zajrzeć do niej na pierwszym noclegu, tyle tam jednakże znajdowałem tych pereł prawdziwych, po które nie żal było trudu grzebania w owem nawet śmiecisku, najdziwaczniejszem przyznaję, jakie mi się w życiu spotkać zdarzyło.

Jeszcze dnia tego zdążyłem na noc do Wólki. Późno już było, mianowicie jak na wiejski obyczaj nasz, dlatego musiałem powinszować sobie mojego postanowienia, polegającego na przezwyciężeniu wrodzonej nieśmiałości, bo mię tu ze staropolską prawdziwie powitano serdecznością, odrazu przypomniawszy sobie sposób i okoliczności, wśród których zrobiliśmy tę znajomość niezwyczajną. Na wsi wrażenia nie ścigają tak jedne drugich, jak w mieście, a przytem niechaj co chcą mówią, człowiek tu lepszy, szczerszy, bardziej nasz, a nadewszystko zachował on w wyższym stopniu ten dar, który nazwać można pamięcią serca, i stosuje go we wszystkich sprawach swoich — stosuje do ludzi i do faktów zarówno. Głębiej żłobi jednem słowem bruzdy swoje na tych sercach życie, niż w miastach—to fakt niezaprzeczony.

Zacząłem, rozumie się, od słów kondolencyjnych, dotyczących śmierci brata pani domu, ale mię wprędce osadził mąż, tłómacząc żonie to niepojęte dla niej wystąpienie moje.

— To, widzisz, było coś takiego, było — rok mniej więcej temu; i ja się z tem w gazecie spotkałem, ale nie chcąc ci robić przykrości, nie wspomniałem. Homonym jakiś, ale to szczególne, że imię i nazwisko i wiek te same zupełnie, a nawet coś niecoś powiedziano tam i o literackiej pracy...

— Nie wiem o czem mówisz..

— No, niema co powtarzać. Powiadam ci, że przed rokiem mniej więcej nabazgrał ktoś komuś jakiś nekrolog, a ten zmarły miał imię i nazwisko, i lata te same co August. No, pomyłka jednem słowem, bo cóżby oni też po tych gazetach robili, żeby jeszcze pomyłek nie mieli do robienia. Basta! Zapomnijmy o tem, a lepiej pogadajmy z gościem naszym; będzie to coś jak echo czasów lepszych, a tego sercu coraz bardziej trzeba.

Poczciwie było w tej Wólce bardzo — tak dobrze i serdecznie jak niegdyś. Ze świtem miałem wyjechać, zamówiono mi też konie niezwłocznie, tak jak podówczas, a tymczasem prowadziliśmy tę urywaną rozmowę o wszystkiem i o niczem — o każdym z tych, który był ongi blizkim, a który albo był gdzieś daleko, albo go wcale między żyjącymi nie było. Ot, taka bezładna zwyczajnie rozmowa, wszczęta nagle po pięciu latach niewidzenia, z widokiem w dodatku, że ją za kilka godzin przerwać wypadnie. Wogóle wiadomości pocieszających nie udzielono mi żadnych prawie; dzieci wprawdzie chowały się zdrowo i rozwijały, jak zapewniali rodzice, pomyślnie, ale w stanie umysłu biednego Augusta, żadna na korzyść zmiana nie zaszła.

— Owszem — mówił mi pan Kazimierz. — Zastygł on tak, zaskorupiał, od ludzi stroni bardziej jeszcze niż dawniej. Zdaje mu się tylko, że coś robi, a to pożal się Boże, smutek okropny patrzeć na to, co z pod tych rąk wychodzi. Zazwyczaj arkusz każdy zapisany jest ze wszystkich czterech stron, a w tem, co tam napisano ani związku, ani ciągu. Przytem wysechł, w ostatnich czasach zapadły mu oczy, nie je prawie wcale, ale śpi dzień cały bez mała. Takie nieszczęśliwe życie rośliny — oswoiliśmy się już z tem, bo i z czem się to człowiek na świecie nie oswoi.

Na wniosek gospodyni domu, należało mi się przespać parę godzin przynajmniej przed drogą, a w zamian za to musiałem dać uroczyste zobowiązanie, że z powrotem wstąpię jeszcze i przynajmniej dni parę z nimi przepędzę, na co bardzo chętnie zgodziłem się oczywiście.

Ponieważ zażądało mi się pełni całej wrażeń niepowrotnie ubiegłych, prosiłem, aby mi na ten krótki mój spoczynek przeznaczono i tym razem jeszcze pokój Augusta na facyatce; ciekawy byłem jak to wszystko razem i on sam wreszcie, właściciel tej pustelniczej celki, przypomni mi się dzisiaj. Zaniesiono za mną mój bagaż podróżny, ale spodziewany połów na wspomnienia okazał się żadnym prawie, jak to zwykle ma miejsce, ile razy z myślą z góry powziętą zabieramy się do wywoływania widm i mar przeszłości.

Spojrzałem uważniej nieco na tę twarz śpiącego człowieka, zdumiałem się jego siwiźnie przedwczesnej, policzkom zapadłym i po krótkim egzaminie biedaka, który ani się domyślał, że jest przedmiotem obserwacyi, przyznać musiałem słuszność twierdzeniu jego szwagra, który utrzymywał, że ten organizm wypala się doszczętnie. Tak być musiało w rzeczy samej — dokończał się wyraźnie, i to na szybkie chyba nawet tempo.

Sięgnąłem machinalnie ręką po książkę przywiezioną ze stacyi, ale i to nie szło jakoś — wstrząśnięty czy rozdrażniony byłem dziwnie, ale czem? nie umiałbym powiedzieć wówczas. Dziś wolnoby mi było prawie napewno twierdzić, że bywa jakaś emanacya mistyczna, gdy się dokoła nas spełnia coś, czego my nie dostrzegamy, i czego przeczuciem nawet nie odgadujemy, a co mimo tego stanowi o losach człowieka. To miało niewątpliwie miejsce w tej chwili.

Położyłem książkę, zgasiłem światło, a po paru godzinach snu ciężkiego bardzo,,zbudzony przez służącego, jechałem znowu na miejsce przeznaczenia swego, zostawiając w tej Wólce także coś niepojętego, czegobym inaczej jak przeznaczeniem nazwać nie umiał.

Kto byłby wówczas powiedział, że tą rzeczą martwą, która jednakże tyle zaważyć w istnieniu człowieka miała, była owa książeczka dziwaczna, to cudactwo, ten zlepek dwóch sił tajemniczo ze sobą splecionych. Dziwne, dziwne bywają zrządzenia losu!

Kiedym w dwa tygodnie potem wysiadał z powrotem przed dworem Wólki, zdziwiony byłem na wstępie wyrazem twarzy gospodarza, którego przeczuciem wiedziony, zapytałem odrazu co się stało.

— Niby nic nadzwyczajnego, jakby rzekł człowiek trzeźwy—odpowiedział mi on zmienionym głosem—ale dla nas bardzo to wszystko jest szczególne, prawie że nadprzyrodzone. Wystaw sobie, w dwa dni po twoim wyjeździe, umarł August, ale co jest właśnie zdumiewającem, to że umarł zupełnie przytomny, pogodzony z losem, a w tych dopiero przedśmiertnych chwilach, powiedział nam ostatnie słowo swojej tajemnicy. Nie martw się, bo my tu do ciebie żadnego, Bóg niechaj nam świadkiem będzie, nie żywimy żalu, ale to ty przywiozłeś mu śmierć, a raczej dała mu ją ta przywieziona przez ciebie książka. Czy uwierzyłbyś, że to, o czem on mówił ciągle, to nad czem rozpaczał, czego żałował aż do utraty zmysłów, to było właśnie w tej przeklętej pamięci książczynie. Zobaczysz, jak on ją starannie pokreślił, jak ją oczyszczał z przytomnością umysłu zupełną, z tego, w co ją przybrała zła wola, i nieudolność ludzka. Zobaczysz sam. Żona, bo to ona lepiej się zna odemnie na tem wszystkiem, powiada, że to było arcydzieło. Ukradł mu je nikczemnik, oszpecił do niepoznania swojemi błazeńskiemi dodatkami, i mniemając razem ze wszystkimi, że ten biedak nie żyje już, puścił w świat. Serce pękało patrzeć na tego naszego nieszczęśliwego chłopca, jak on to ze łzami odczytywał. Ah, gdyby to mógł był widzieć tamten — niechajby miał taką przynajmniej karę, bo to przecież rozpacz żeby tak bezlitośnie zabijać człowieka— i jakich nadziei człowieka.

— Któż jest tamten?

— Zaklinał męczennik, żeby nie mówić, więc nie powiem nic, ale książkę ci żona pokaże, bo ona dnie całe nad nią teraz przepędza, i lęka się tylko, żebyś zwrotu od niej nie zażądał, ale ty tego przecież nie zrobisz.

Zapewniłem jak najsolenniej.

Dwa dni przepędziliśmy z pośmiertnemi myślami tego jednego z wielkiej liczby skazanych na zapomnienie ludzkie. Kiedy robiłem siostrze jego propozycyę wyprowadzenia na światło dzienne tej sprawy okropnej, odpowiedziała mi ze spokojem:

— Nie chciał—zastrzegł to sobie.

„Ostatnia prośba moja — mówił — to żeby dać pokój wszelkim dochodzeniom. Nie było woli Bożej, bo inaczej jabym sobie dziś nawet takiej wielkiej krzywdy wytłómaczyć nie potrafił."

Niechajże woli Bożej i jego żądaniu stanie się zadość, bo w samej rzeczy jakżeby sobie i tę dolę złą, i ten cały tak fatalny zbieg okoliczności objaśnić można.

S.



Ty nie myśl o mnie.

Jednemu z niewielu.

Ty nie myśl o mnie, gdy mnie wspomnisz sobie,
Żem uczuć ziemskich nadzieje żywiła
I z kruchej czary ziemskich pragnień piła,
W myśli o tobie, w marzeniu o tobie...

I nie myśl o mnie, gdy mnie wspomnisz sobie,
Że uczuć moich żywiołowa siła
Od woli mojej zależną tu była,
Lub tyś jej we mnie zapragnął, ja w tobie.

Ale myśl o mnie, gdy mnie wspomnisz sobie,
Że ponad wolę naszą i świadomość,
Ponad skończonych dróg ziemi znikomość.
To „stań się" rzekły dusze nasze obie.

Lecz myśl, że z potęg żywiołowych siłą
Tak tu się sprzęgły naszych dusz atomy,
Że ponad woli naszej bieg świadomy,
Stały się jedną, w treści swojej, bryłą.

I myśl... że życie na ziemi przepłynie,
Popiołów naszych ślad wichr czasu zwieje,
Ludzkości ziemskie swój kres znajdą dzieje,
A nasza spójnia w wieczności nie zginie!

Helia.

VIOLA.

Urywki z pamiętnika artysty.

(Ciąg dalszy).

— Słuchajno — rzekł mi Satanista z miną ponurą—ta twoja „Cisza" dobra, bardzo dobra! Winszuję ci!

— Żartujesz głupio. Winszuj Wolańskiemu, nie mnie.

— Kpisz?

— Nie kpię! Miałbym cię za ostatniego filistra, gdybyś nie odczuł, że w obrazie Wolańskiego jest więcej nastroju, więcej szczerego liryzmu, więcej tej ciszy, o którą chodziło, niż w moim—gdybyś nie poznał się wreszcie, że jest lepiej malowany, niż mój.

— Mówisz o obrazie nagrodzonym?

— Zidyociałeś? Czyż o inny chodzi?

— Zgadzam się z tobą zupełnie — mówił powoli Satanista—ale nie wmówicie we mnie, że to Wolański malował...

— Jakto?

— Ta purchawka! Ten worek łzawy? (Satanista szczególnie niecierpi Wolańskiego). Prędzej uwierzę, że kanonizowanym będę, niż że on zdobył się na takie, w swoim rodzaju, arcydzieło. Co to za rysunek tych ust! A co za czoło! Za ciszę tego czoła dałbym już nagrodę. Ale to nie on!

— Przyzwyczajony jestem do różnych fantastycznych pomysłów tego cudaka.

— Więc cóż, myślisz, że dyabeł malował za niego?—pytam.

Satanista spojrzał na mnie z nieukrywanem urągowiskiem, i zamyślił się.

— Szatan? anioł prędzej... to nie szatańska robota... szatani nie lubią głupich, takim Wolańskim nie pomagają... wiesz, tej nocy miałem dziwną wizyę... owad, piękny złocisty owad, o szmaragdowych, przezroczystych skrzydłach, unosił się przedemną; patrzył na mnie czarnemi, tajemniczemi i tak niezmiernie, niezmiernie inteligentnemi oczami, i mówił mi coś o tobie, o niej, o tym obrazie, ale nie pamiętam co, zapomniałem, a może nie zapomniałem, tylko tego, co on mówił, w słowie ludzkiem niema... Co to może być za duch?..

— Wizyami nie zawracaj mi głowy! Zaczynasz już po swojemu. Mówię ci: lecz się! bo cię wsadzą do czubków...

Satanista wpadł w gniew; chciał łamać stołki, ale po chwili udobruchał się, i rozstaliśmy się, jak zwykle, w najlepszej zgodzie. Poszedł marzyć o swoim owadzie z niezmiernie inteligentnemi oczami.

. . . .

Viola unika mnie, unika ludzi wogóle, jest jakaś smutna, przygnębiona. Pytałem ją o powody tego stanu ducha, ale odpowiedziała mi tylko, że matka jej chora. Myślałem, że spotkam ją u Ruskina; nie przyszła. Co to wszystko znaczy?

Stary rozpromieniony, bawi się teraz Wolańskim, a jeszcze lepiej podobno małym obdartusem jakimś, w którym odkrył talent rzeźbiarski. Chłopaczyna ponury jakiś, dziki, nieczesany, ale naprawdę lepi z gliny nadzwyczajności.

Gdzieś w lesie, na polanie, przy bydle, zdybał go stary. Z ziemi wstawały wonie wiosenne, w dali porykiwało bydło, mgły podnosiły się z zielonych, wilgotnych dolin, a ten dzikus strugał sobie kozikiem, czy lepił z gliny kształty dla swoich snów.

Posłyszeć trzeba, jak to opowiada Ruskin, jaki tworzy z tego obraz świeżością, wiosną tchnący.

Porwał chłopaka od bydła, z lasu, jak nas wszystkich, od komina, od chaty, a teraz będzie go hypnotyzował promieniami gwiazdy-sławy, pozwoli mu cierpieć głód i chłód dla sztuki, będzie mu naznaczał konkursy, ostrogami krwawił boki, hartować go będzie i podniecać, aż zrobi z niego opętanego farysa o płomiennem oku i spiekłych gorączką wargach, szalonego gońca ideału po jałowym stepie życia.

Poczekaj mały, zatęsknisz i ty kiedyś za polaną twoją, za dzwonkiem twojej krowy, za wiosny leśnej zapachem...

. . . .

Ruskin nie wierzy także, żeby Wolański mógł być autorem, tego ślicznego obrazka, ale udaje, że wierzy!

. . . .

Wyrwę się od nich wszystkich raz! Wydobędę się z pod przemocy tego człowieka, który dlatego tylko, że ma nademną jakiś rodzaj władzy, jest mi nienawistnym. Pójdę sam, o własnej pójdę mocy! Dostałem zamówienie na obraz, namaluję, i pójdę w świat, na zachód. Więcej nauczę się tam przez rok, niż tu przez lat tyle. Walczyć będę, łamać się będę z życiem, ale sam! Czuję się silnym, czuję się olbrzymem! Ach, jak mi łatwo oddychać, jak dobrze! Jak dobrze jest oddychać powietrzem swobody.

Wolno mi malować, co zechcę. Namaluję mu burzę, temu kupcowi, który przeczuwa, zdaje się, że na moim obrazie zrobić będzie można za lat parę dobry interes, i rzucę ich wszystkich. W żywiole moim, w burzy, żyć będę rozkosznie miesięcy parę, a potem: żegnaj mi płaska twarzy Wolańskiego, korpulentna postaci miłej jego małżonki, żegnajcie mi wszystkie robaki tutejsze! Zostawiam was w waszem błocie!

. . . .

„Gdy dzieci gminu z płaczem w świat wchodzą,
Mnie burze życia, wichry nie szkodzą!
Jam się z nich naśmiał w chwili powicia,
W burzy jam poznał wesele życia!"

Nie wiem gdzie i kiedy to czytałem, nie pamiętam, kto to powiedział, ale to są moje, moje, moje słowa!

Śnię burzę, śnię ją w nocy i w dzień!

Wicher wyje, do ziemi drzewa gnie; w chmur kłębach huczy grom! Na niebie zapalają się pożary, pożary ogromne; widnokrąg cały gore łuną błyskawic, ale widnokrąg niezmierny, niezmierny, taki, jakiego nigdy nie widziałem na ziemi. Dziś w nocy przed tą burzą myśli mojej, przed tem czerwonem płomieni morzem, zadrżałem sam! Ale o dniu białym wyciągam ku niej ramiona, ochocze, młodzieńcze, wichrów i burz spragnione ramiona! O myśli moja! bogatą jesteś i silną. Przed twórczą mocą twoją czasem sam cofam się zdumiony. Dziś fantazyi płomienne kwiaty zrzucasz mi na płótno, a jutro... albo ja wiem, co narodzi się w łonie twojem?..

. . . .

Radosny byłem, silny, jak wicher, który hula po pustem, dalekiem przestworzu. Viola wytrąciła mnie z mojej kolei, stanęła na drodze mego lotu, stanęła smutna, blada, biała. Przyszła do mnie bez wiązanki bratków, bezsenna, żałobna jakaś w spojrzeniu i postawie. Przyszła powiedzieć mi, że matka jej ma raka w gardle, że to choroba nieuleczalna, że za parę miesięcy spodziewa się jej śmierci.

Chciałem wyprowadzić ją za miasto, w pole, miałem w sercu słowa pełne uniesień, miałem w duszy potężny, namiętny jakiś poryw. Słuchać nie chciała. Odeszła smutna, z pochyloną głową – płacząca brzoza!

Hej smutki z drogi! Z drogi żałoby i nędze życia! Jeżeli ginąć, to w burzy potężnym uścisku!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Zmarli.

Ś. p. *Aleksandra Rakiewiczowa* utalentowana i ceniona wielce artystka teatrów warszawskich, wzorowa małżonka i matka rodziny w wieku lat 60.

Dobroczynność.

Warszawski przytułek św. Salezego wyłączonym będzie z pod zawiadywania miejscowego Towarzystwa Dobroczynności, a to dzięki darowi znanego finansisty p. G. Blocha, który na rzecz tej instytucyi złożył w darze sumę 15,000 rs. Ustawa nowego przytułku przedstawioną będzie wkrótce do zatwierdzenia władzy.

Rada miejska dobroczynności publicznej podaje do wiadomości, że przy jej kancelaryi otworzone zostało osobne biuro, za którego pośrednictwem w każdym czasie dniem i nocą, osobiście lub przez telefon można otrzymać wiadomość, w którym z warszawskich szpitali znajdują się miejsca wolne dla przyjęcia chorych.

Z polecenia warszawskiego Generał-Gubernatora Rada miejska Towarzystwa Dobroczynności zorganizowała oddziały sanitarne, które na wypadek potrzeby gotowe są w każdej chwili udać się do Samarkandy lub okręgu Turkiestańskiego, jako miejscowości nawiedzonych przez zarazę. Na przyjęcie czynności w oddziałach zapisało się: 8 lekarzy, 1 lekarka, 39 felczerów i 2 felczerki, a także 11 uczniów felczerskich. W razie wyjazdu pobierać będą lekarze kwartalnie po rs. 3,000 i zwrot kosztów—reszta zaś obsługi sanitarnej kwartalnie po rs. 1,000.

Rozstrzygnięcie konkursu budowlanego.

W dniu 19 Listopada pod prezydencyą J. E. Arcybiskupa, zebrała się komisya złożona z pp. Władysława Knapskiego, St. Hertzberga, bar. Heinzla i budowniczych: J. Junga, Szyllera i Wojciechowskiego, a to dla oceny projektów na mający się wznieść kościół katolicki w Łodzi. Projektów tych nadesłano ogółem 37, w tem 27 z zagranicy.

I-szą nagrodę w kwocie rs. 1 250 otrzymali przedstawiciele biura technicznego pp. Wende i Zarske za pracę złożoną pod godłem: „Bogu na chwałę."

II-gą nagrodę w wysokości rs. 750 pozyskał p. J. A. Ruppel właściciel firmy techniczno-budowlanej: Franz Langenberg Nachfolger z Bonn w prowincyach Nadreńskich. Godło „Ave-Maria."

III cia rs. 500 przyznano budowniczym pp. Janowi Cichorskiemu Warszawianinowi i Edgarowi Vinson inspektorowi pomników historycznych w Paryżu, za prace pod godłem: „Gloire à Dieu." Rodak nasz przebywa również we Francyi w La Garenne-Colombes.

Nadto zaleciła komitetowi budowy komisya konkursowa do nabycia 3 projekty po rs. 250, a mianowicie oznaczone godłami: Sanctus Mauritius—Gloria - Hallenkirche.

Koszta mającej się wznieść świątyni w Łodzi oznaczone są na rs. 300,000 bez urządzenia wewnętrznego, a obszerność obliczona na osób 4,000. Kościół stanie przy rogu ulicy Piotrkowskiej i Pustej.

Z prasy.

Opierając się na rewelacyach łódzkiego „Rozwoju" podaje dziennikarstwo opłakane prawdziwie objawy w sferach tak zwanej dobroczynności publicznej miasta Łodzi, a jak przekonywają fakta, publicznego deptania wszelkich obowiązków ludzkości i miłosierdzia. Wypadki barbarzyńskiego znęcania się nad chorymi w szpitalu obłąkanych i w przytułku chorych nieuleczalnych, opisuje „Rozwój," wymieniając nazwiska ofiar i lekarzy z plemienia niższej kultury, którzy jednak muszą robić obdukcye okaleczałych w zakładach zostających pod kierunkiem sprawodzonego „ad hoc" przez Dobroczynność łódzką dr. Brautigama. Ostatni posiada nietylko tę wyższość, że ani słowa polskiego idjomu nie rozumie, ale nadto przywiózł on gotową metodę pielęgnowania chorych, wypróbowaną już z powodzeniem w Kamerunie i innych szczęśliwych ziemiach, na których rozsiada się plemię uprzywilejowane do szerzenia cywilizacyi.

Okropne to są jednak rzeczy, dowodzące z jednej strony, jaką wogóle atmosferę ciągnie za sobą ten błogosławiony przemysł fabryczny, do którego jak do zbawcy, tyle naszych główek niedojrzałych, zwraca się od pewnego czasu—z drugiej pokazuje to jak zdziczał ten naród niemiecki, któremu niedawno jeszcze braku uczuć humanitarnych nikt zarzucićby się nie ośmielił.

Sprawy miejskie.

Podobno okazało się, że jedynym w przyszłości gruntem pod park miejski, mogą być rozdoły pocegielniane znajdujące się na przestrzeni pomiędzy rogatkami: Mokotowską i Belwederską. Jak zapewniają pisma codzienne, równanie dołów pod plantacye już się rozpoczęło, a z wiosną roku nadchodzącego przystąpią ogrodnicy do robót właściwych w myśl nakreślonego planu. Miejscowość z tego najpierw względu kwalifikuje się na ten oczekiwany a nawet upragniony park, że jest jedyna, a ma przytem położenie naturalne na tyle niejednostajne, iż powinnaby je sztuka ogrodnicza módz do swoich celów wyzyskać odpowiednio. Dlatego też wolno się spodziewać, że zarząd zastosuje się do wszelkich wymagań estetyki ogrodniczej, i stworzy coś zastosowanego dla miasta, któremu w krótkim czasie zapowiadają milionowe zaludnienie.

Album Henryka Sienkiewicza.

W zakładzie Meisenbacha w Berlinie wykonano sposobem fotograficznym 15 reprodukcyi fotograficznych z oryginalnych kartonów artystów malarzy, których nazwiska podajemy tutaj: Howard Pyle, Edmund H. Garret, Ewest van Muyden, Leon Benouville. Stanowią te reprodukcye bardzo piękne album do edycyi amerykańskiej „Quo vadis" w przekładzie angielskim, które zdobi portret autora i „fac simile" jego podpisu. Artyści illustratorowie oddali te epizody: 1) Ligia i Viniciusz w willi Aulusów — 2) Spotkanie Poppei z Lygią w ogrodach Nerona — 3) Ursus oswobadza Lygię z rąk Viniciusza—4) Chilon obiecujący Petroniuszowi odszukanie Ligii—5) Ursus z ciałem Krotona — 6) Sen Viniciusza — 7) Neron w cyrku - 8) Lwy i tygrysy sprowadzone przez Nerona na chrześcijan - 9) Lygia i Viniciusz przerażeni rykiem dzikich zwierząt — 10) Neron ścigający chrześcian—11) Męczennicy—12) Nawrócenie Chilona — 13) Walka Ursusa z turem — 14) Quo vadis Domine?—15) Kaplica Quo vadis.

Bogatsi od nas Amerykanie więcej zrobić mogą niż my dla uczczenia arcydzieła naszego mistrza, a przytem wolni oni być muszą od młodej zgniliżny w rodzaju naszych krakowskich pajaców literackich, próbujących swoich ząbków mlecznych na metodzie, która się zowie „Indyjańską."

Pisaliśmy o tem w swoim czasie w „Tygodniku," a dziś przypominamy tylko, bo w istocie nie łatwo się zapominają wybryki podobne.

Wskazówki i rady.

Przekładany torcik czekoladowy.

Pół funta cukru ubić bardzo mocno z 12 ma żółtkami, wsypać pół funta mąki, lekko wymieszać i dodać pianę sztywną z owych 12 białek, ubitą dobrze; wymieszać całą masę i na blasze młodem masłem posmarowanej upiec 8 cienkich blacików. Najlepiej to robić na okrągłych patelniach piekąc po 2 lub 3 na raz, bo trudno mieć aż 8 patelni, reszta ciasta powinna stać tymczasem w piwnicy lub lodowni.

Tak upieczone blaciki smarować następującym kremem: 20 łutów masła młodego wyborowego, 20 łutów cukru miałkiego (pudru), ubić razem, ćwierć funta tartej czekolady i ćwierć funta tartych przesianych tureckich orzechów, wymieszać dobrze razem. Posmarowane blaciki składać jeden na drugi, aby się dobrze uleżały, przyciskając lekko dłonią.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-nej Pani W. J. Krze. Stacya Otwock. Odpowiadając na listowne zapytanie Pani, dajemy adres: p. Mercère Nowy Świat Nr. 20.

Pani L. T. Boa z piór trzeba dać do fryzowania, gdyż w domu można odświeżać tylko małe piórka, fryzując je tylcem noża rozgrzanego.

Pani L. Szy. w Rownie. Wielkość dywanu musi stosować się do rozmiarów gradusów ołtarza, jeśli ma je całkowicie przykryć. Niewielki dywan 4 łokcie długi a 5 i pół szeroki, kosztuje 20 do 25 rs.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ **ROBERT WILCZYŃSKI**

810—50—43 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH *Marszałkowska 136 róg Ś-to Krzyzkiej 1 piętro.*

916—25—21

MAGAZYN MEBLI **A. JÓZEFOWICZA** *Nowy-Świat 28* *Filia: Niecała 14* Życzącym Na RATY.

941—13—9

A La Parisienne

Szkoła Kroju i Szycia

oraz

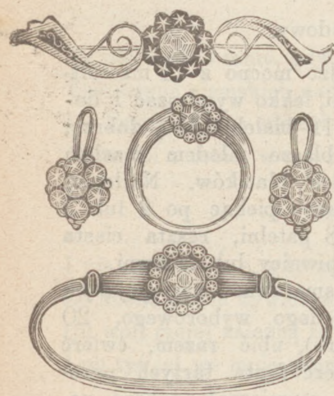
Pracownia Sukien

EMILII EHRENKREUTZ

uczennicy Wortha, mistrzyni cechu, z dyplomem paryzkim. Nagrodzona **Medalem** na konkursie krawców w Paryżu za **Krój** bez poprawek i naukę szycia najpraktyczniejszą.

Warszawa, Chmielna 24, pomiędzy Bracką a Marszałkowską.

929—26—9



Elegancki złoty garnitur

56-ej próby.

Bransoletę, pierścień, i parę kolczyków, osypanych dokoła amerykań. imitacyjnemi bryłantami, nieodróżniającemi się ogniem od prawdziwych, po środku imitacja **ametyst, szafir, rubin, szmaragd, topaz** lub **turkus**, jestem w możności sprzedawać, dzięki wielkiemu zbytowi, zamiast po **18 i 20** rs.

tylko za 12 i 15 rub.

Z takąż samą zaś broszką o 3 r. 50 kop. drożej.

Wysyłam w elganckiem atłasowem pudełku (etui) po otrzymaniu 2 rs. zadatku.

Adres: ***M. GOLDENBERG*** *Warszawa.*

Firma posiada liczne podziękowania piśmienne. 927—25-17

!! ARCYDZIEŁO TECHNIKI !!

KOMPLETNE WYDANIE DZIEŁ (4 tomy)

ADAMA MICKIEWICZA

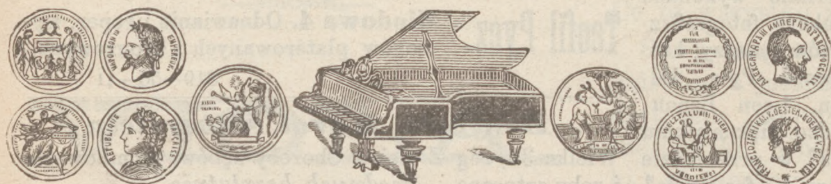
W BRELOKU DO ZEGARKA?!

Lupa osadzona w breloku ułatwia czytanie tekstu.

Książeczka w eleganckim metalowym breloku rs. 2. w srebrnym 84 próby, pozłacanym lub oksydowanym breloku rs. 5 w breloku złotym 56 próby rs. 25; Na życzenie monogram lub herb srebrny, za dopłatą 2 rs. 56 k. — złoty 5 rs. Za przesyłkę w Rosyi Europ. 25 k. w Azjatyckiej 50 k. 6-ść sztuk franco 965-11-10

Wydawca M. Szolc. **Warszawa Nowy Świat 56.**

Do nabycia w księgarniach—większych magazynach jubilerskich—i materjałów piśmiennych



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 864—50—30

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

1017—3—1 **Fabryka egzystuje od 1857 r.**

Fabryka i Magazyn Wyrobów Szmuklerskich

Adolfa Posnera,

ulica Marszałkowska 141,

otrzymał świeży transport Pasmanteryi damskiej oraz wielki wybór Pasków.

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

N. TISSERANT

MISTRZYNI CECHOWEJ

Marszałkowska Nr. 51.

Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"** Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. 992—6—4

Skład towarów Żelaznych i Naczyń kuchennych **I. WEISSMANN**

938-25-8 **Warszawa Graniczna 8.**

SPECYALNY ZAKŁAD

Reperacyi maszyn do szycia

W. KALINOWSKI

Wspólna Nr. 15 785-50-47

Skóry z Dzików, Lisów, Jeleni, Żubrów i t. d. na futra i na dywany wyprawia miękko, czysto i trwale zabezpieczając je od moli



Z A K Ł A D

Konstantego Lewandowskiego

w Warszawie, ul. Oboźna № 4.

Wyprawia także skóry z Łabędzi, Kaczek i Gęsi. Odczyszcza wszelkie skóry, doprowadzając je do pierwszej czystości i miękkości. 871—15—12



Dozwolone przez Władzę Lekarską

na ogólnych zasadach handlu



Délice (Delis)

Wynalazek Towarzystwa Przemysłowego przetworów Chemicznych w Paryżu Compagnie Industrielle de produits chimique á Paris). Zbior roślin Alpejskich, służących do domowego wyrabiania francuzkich likierów żółtego i zielonego **„Chartreuse"** et **„Benedictine"** pod względem smaku, zapachu i koloru w niczem nie ustępujących likierom wyrabianym we Francyi. Butelka likieru z roślin **Delice** wynosi od 75 do 90 kop., gdy tymczasem butelka fabrycznego likieru francuzkiego kosztuje od rs. 5 do 7. Cena jednego pudełka „Délice" bez kosztów przesyłki kop. 50, przy zamówieniach nie mniej niż 10 pudełek koszta przesyłki się nie liczą i zamówienia wysyłają się za zaliczeniem. Sposob użycia znajduje się przy każdem pudełku. Miejsce sprzedaży w Warszawie przy ul. S-to Jerskiej nr. 28 u Ch. Kamienomostskiego, do którego zechcą się zgłosić osoby, któreby pragnęły mieć wyłączną sprzedaż w pewnych rajonach. Można również dostać „Delice" we wszystkich znaczniejszych zakładach aptekarskich i gastronomicznych.

900—10—9

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.

W. BŁAŻEJEWSKIEGO.

Widok 24 w Warszawie. 933-50-17

przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

Jòel Herzenberg

Warszawa, Tłomackie № 1.

SKŁAD TOWARÓW JEDWABNYCH i MANUFAKTURNYCH

oraz 995-12-7

wszelkich Podszewek dla Konfekcyi Męzkiej i Damskiej

MAGAZYN

Obuwia Damskiego i Dziecinnego

W. GARNUSZEWSKIEJ

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 5 911-25-12

DARMO PORTRETY

Kredkowe

By rozpowszechnić te wspaniałe **Kredkowe** portrety w Rossji, ***Towarzystwo ARTYSTYCZNE PORTRETÓW w Paryżu*** zrobi każdemu czytelnikowi i abonentowi tego dziennika jeden portret **Kredkowy** wielkiéj wartości **ABSOLUTNIE DARMO,** byle tylko to zawiadomienie zostało odcięte i przesłane wraz z fotografią dla reprodukcji w przeciągu 25 dni począwszy od tej daty dziennika, i osoba obiecała polecać nasze Towarzystwo swym krewnym i przyjaciołom. Prosi się pisać bardzo czytelnie swoje nazwisko i adres na odwrotnéj stronie swej fotografi i przesłać to pocztą de **Mon TANQUEREY,** Directeur de la ***SOCIÉTÉ ARTISTIQUE de PORTRAITS, 9, Rue de St-Pétersbourg, Paris (France).*** Fotografia zostanie zwrócona nietkniętą razem z dużym portretem natychmiast wykonanym.

1014-3-2

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Ноября 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Wilczek siadał do stołu czasem zmęczony, częściej znudzony—uspokojony nigdy. Darty tajemną troską, konwulsyjnie ściskał kielich i szukał pociechy w gorącym napoju. Inni kraśnieli, ulegali odurzającemu wpływowi; on sam jeden bladł za każdym toastem. Czerwień padała mu na mózg i serce.

Powoli, zaczął w nałóg tonąć; uważano atoli powszechnie, że tracił dawną wesołość, i dziwiono się tembardziej, że nastrój młodego lwowskiego towarzystwa byłby Orfeuszowe w głazie obudził życie i ochotę.

Różne pogłoski zakrążyły o przyczynie trosk bohatera; zgłębiano je zwłaszcza tam, gdzie wchodzimy w tej chwili, to jest do pierwszego w mieście hotelu—miejsca schadzki kontraktowych i przyjezdnych dla zabawy.

Była godzina obiadowa.

Na pierwszem piętrze okazałego domu, w obszernej sali, którą możnaby nazwać raczej galeryą, stało kilkanaście różnego rozmiaru nakrytych stołów. W głębi, na roścież otwarte drzwi, wiodły po czterech wschodkach do przybocznej komnaty, zajętej przez dwa bilardy, ulubioną rozrywkę gości wykwintnej gospody.

Przychodnia na wschodach jeszcze przyjmował gwar pszczelnego rojowiska, powitania wchodzących, wykrzykniki zasiadłych, dzwonkowy dźwięk szkła, głuchy brzęk talerzy, hałaśne odpowiedzi i obwieszczenia usługujących, wystrzały szampańskich korków, śmiechy, zaklęcia, przysięgi, zgiełkliwe uniesienia i szmer półgłośnych wynurzeń.

Ku środkowi sali, w okół obszernego stołu, biesiadowało kilkunastu młodych ludzi pod przewodnictwem kapitana Skałki.

Ci, łatwo można było poznać, przeciągnęli byli śniadanie aż do obiadowej pory. Na stole owdowiałym z talerzy, tułały się suche ostatki uczty, po większej części wezwane na podnietę pragnienia. Nieustraszonym szeregiem ciągnęły butelki na miejsce tych, które bez duszy już znikały próżne pod stołem, czyli jak Skałka nazywał, we wspólnej mogile różnorodnych trupów.

Za każdym kielichem przybywało wesołości i gwar się wzmagał.

Odbyto już przegląd kobiet, miejskich plotek, kontraktowych wydarzeń, szczególniejszych wypadków gry, wyścigowych koni, zakładów, dowcipów, anegdot, polowań, pojedynków; Skałka zabierał się do posetnego opowiadania o bójce Wilczka z Prusakiem, gdy wtem jeden z młodzieży rozbujany w krześle przerwał mu gromkiemi słowy:

— Na honor kapitanie znamy na pamięć waleczną wyprawę, chociaż każdy jej szczegół codzień pod nowem światłem nam się objawia. Lepiejbyś uczynił, tłumacząc nam dla czego pomimo obietnicy, Władyś nie stawił się na śniadanie?

— Prawda!... zapewne!... powiedz nam, gdzie podział się Wilczek?... co porabia?.. dla czego nie przyszedł.

Skałka skrzywił usta, wytrzeszczył oczy, głowę między ramiona zacisnął, dając poznać gestem, że niema odpowiedzi.

— Co w tej chwili porabia? — odrzekł Juliusz dobrze już podchmielony, jasnowidzący mógłby wam tylko powiedzieć. Że przyjdzie — nie wątpię. Musiała go zajść ważna przeszkoda.

— Przyjdzie, wieczorem... jutro! jak się wszyscy rozejdziemy. Przecież nie zapomniał, że na jego cześć wyprawiamy śniadanie?

— Pamięta, doskonale pamięta — ciągnął Juliusz — wszakże mówiłem, że zapowiedział przybycie nowego członka do naszego towarzystwa.

— Prawda! — krzyknął kapitan, uderzając się w czoło — przeklęta pałka!... pamięć w niej wietrzeje jak wino w odetkanej butelce. Dziś z rana, na własne uszy słyszałem; sam mówił mi, że przyprowadzi gościa.

— Kogóż takiego?

— Nie wymienił; dodał tylko, że nowy koleżka należy do jednego z najznakomitszych rodów.

— Bah!... drwił sobie, żartował.

— Bynajmniej! słowem honoru ręczył za prawdę; przysięgał, że gość z głęboko szlachetnej krwi, że sam cesarz nie odmówiłby mu pochlebnego przyjęcia.

— Widziałeś go na własne oczy kapitanie!

Nie; nikt go jeszcze nie widział ani we Lwowie, ani nawet w Wiedniu.

— Nikt?

— Żadna żywa dusza; nikt co się nazywa. Powtarzam słowa Władysia.

— Cha, cha, cha!... wyśmienity żart!... jakąż drogą personat przedarł się do Galicyi, przecież nie spadł z obłoków?... gdzie mieszka? we Lwowie... w powietrzu — na chmurze?... pod którym numerem?... Ach. kapitanie, umrzesz na łatwowierność!

Skałka chciał odeprzeć zarzut, gdy wtem na dole domu, a wkrótce potem na wschodach, wszczął się niewypowiedziany łoskot. Trzęsły się okna, dzwoniły szyby, drżała posadzka, chwiała się budowa, słychać było przeraźliwy łom desek i huk ciężkich uderzeń, niby na okręcie śród nawałnicy, daleki głos gromu.

Lud kupił się na ulicy, i rzecz dziwna, wesołe podnosił okrzyki. Obecni umilkli, osłupieli na chwilę, za nim atoli kilku bliżej siedzących dośpiało poskoczyć ku progom, drzwi z trzaskiem się otwarły.

Wszyscy rzucili się ku wejściu.

Z parskającemi nozdrzami, z zadziwionem okiem gazelli, pokazała się naprzód piękna głowa konia, a tuż za nią jeździec i reszta ciała zwierzęcia niepospolicie wytwornych kształtów.

Grzmot okrzyków, jakby z jednej piersi wyrwanych rozbił się o ściany i pędził na miasto.

Hurra!.. wiwat!... niech żyje!... wrzeszczano na całe gardło; miotano w górę butelki, talerze, serwety, czapki, kapelusze, włażono na stołki, ściskano się nawzajem, odchodzono prawie od zmysłów.

Szlachetne zwierzę, z wyciągniętą szyją, z rozdętemi nozdrzami, słuchało odurzającego łoskotu przypominając sobie może pierwsze wrażenia przeprawy z rodzinnej Brytanii.

Wilczek postąpił ku środkowi, niby posąg Marka Aureliusza, wyciągnął dłoń nad głowami tłumu do stóp mu przypadłego, dał znak, że chce mówić.

Umilkli.

— Wdzięczen jestem — rzekł — za łaskawe przyjęcie, jakiego doznaje Lord Godolfin, którego mam zaszczyt przedstawić szanownemu towarzystwu. Panicz ten jedzie prosto z Anglii; wczoraj wieczorem przybył dopiero do Lwowa. Cieszę się, że zaraz przy pierwszem spotkaniu nabędzie o Galicyi korzystnych wyobrażeń.

— Niech żyje Godolfin!.. Zdrowie Godolfina!.. Godolfin *for ever!...* — krzyczano na zabój.

— Hej, wina, kieliszków!... Niech dyabli porwą, jaką piękną ma głowę!

— Co za oprawa oka!

Szampan tryskał strumieniem; za każdą butelką rozlegał się okrzyk na cześć konia i jego właściciela.

Trzeba było podziękować.

— Hej, służba, podać mi Wilczka! — krzyknął bohater zgromadzenia.

Pod tym nazwiskiem znany był w gospodzie ogromny kielich, króry z łatwością chłonął w siebie butelkę, a nawet i więcej.

Wilczek napełnił imiennika po brzegi, wspiął się na strzemionach, podniósł kielich w górę.

— Godolfin — rzekł — serdecznie dziękuje za życzenia i nawzajem pije za zdrowie przyszłych wyścigowych spółzawodników i szanownych ich właścicieli.

To mówiąc zbliżył naczynie do ust, chylił w tył głowę i niebawem suche dno obecnym pokazał.

Zagrzmiały oklaski, krzyki, wiwaty.

— To niedość Władziu! — wołał Skałka — jak cię kocham!... słowo honoru!... każdy za siebie! Od ciebie i za ciebie tylko przyjmujemy odpowiedź. Z Godolfinem jeszcze nie kwita.

Kilku z młodzieży uchwyciło konia za nozdrze, otworzyło mu pysk, podczas gdy kapitan wlewał mu w gardło bełkocącą butelkę szampana.

— Brawo, kapitanie!... Niech żyje Godolfin i jego podczaszy!

— To mi polska gościnność!... Niech zna Angielczyk jak u nas piją.

— Winem, owsem i solą, ludzie koni niewolą!

— Niech milord pozwoli serwetą buzię sobie obetrzeć; znamy się na wyspiarskich zwyczajach.

— Może piórka do zębów?

— Skąd wiesz, że jego wielmożność już po obiedzie? bierzesz go za głodnego eleganta?

— Cha, cha, cha!... komedya, na honor... skonać od śmiechu!...

Milord tymczasem przeżuwał w myśli rozmaite uwagi. Obfite użycie napoju dość mu przypadało do smaku, chociaż poprawdzie byłby może wolał Porto lub Maderę. Zgiełk atoli, zamaszystość galicyjskiej *gentry*, nie mile raziły angielski takt w postępowaniu i przyrodzoną oziębłość. Zaczynał się niecierpliwić; bił w posadzkę kopytem.

Jeździec zrozumiał życzenie, cofnął trocha milorda, dotknął ostrogą, ściągnął cuglami do góry.

Godolfin wyprostował się jak świeca, chwiał przedniemi nogami w powietrzu, wypędzał na skórę sieć marmurowych żyłek.

Wilczek pochylony na grzywę, obrócił go na tylnich nogach jako na panwiach, spuścił na ziemię, pogłaskał mu szyję i ruszył ku wyjściu.

— Do widzenia!...—wołano—obaczymy się na przyszłych wyścigach!

— Goddam!... może też i nasze szkapy zdążą za tobą.

Milord peryodycznemi stępy rozbijał schody; czuć było zakłopotane kroki i niepewne dudnienie tylnich kopyt.

— Rule Britannia! — krzyczano z francuskim akcentem; cieśle i stolarze niezginą przy tobie z głodu!

— Słowo honoru, zabije się!... Słyszycie?... poręcz pękła!

— Wszelki duch pana Boga chwali!... potknął się, padł!... hola!... chodźcie tu!... na pomoc!

Wilczek już był na ulicy i wesołej czeredzie od ust przesyłał pozdrowienia.

Błagano, wzywano go na górę.

Lekko zeskoczył, oddał konia masztalerzowi i pospieszył ucieszyć się świeżymi wawrzyny. Rzucili się ku niemu, ściskali w objęciach, winszowali szczęśliwej wyprawy, sypali gradem zapytań, wykrzykników, sadzali za stołem, choć sami po śniadaniu rozpoczynali drugie śniadanie, gdyż dla przyjaźni cygan dał się obwiesić, a Wilczek jeszcze był naczczo.

Kapitan oddawna zapraszał do drugiej sali, gdzie dwa bilardy rościelały zielone pola zwykłej poobiedniej rozrywce.

Spojrzano na Wilczka; w oczach szukano mu potwierdzenia.

Skinął łaskawie głową; powstał i wszystkich za sobą pociągnął.

W pierwszej sali zostało tylko kilku gości nienależących do towarzystwa; główny korpus biesiadników z całą artyleryą butelek, przeniósł na bilard zgiełk swój, wesołość i wrzawę.

Po kilku dniach troski, Wilczek pierwszy raz rozchmurzał czoło.

Pochwały sypane Godolfinowi i jeźdźcowi, uprzejmość z jaką go przyjmowano, niezaprzeczona nad drugimi wyższość, której wyraźne składano mu dowody, wszystko to, jeżeli nie dało mu spokoju, pchnęło go przynajmniej na chwilę w serdeczne usposobienie. Nikomu zdrowia nie odmówił, żadnego toastu nie zamilczał; choć przyszedł ostatni, jako wszędzie i zawsze, tak i w kielichowej gonitwie wkrótce wszystkich daleko za sobą zostawił. Nigdy też zapał na jego cześć nie buchał z równą siłą i jednomyślnością. Nieszczędzono mu w oczy przyjaznych oświadczeń; powtarzano za oczyma, choć już nie słuchał mniemania nad rzadkimi jego przymioty, nad nieocenionem sercem. Sławiono Pana na wysokościach konia i na pieszym poziomie.

W jednozgodnym tym sejmiku uczuć, była jednakże jedna pierś kryjąca na dnie myśli zacięte *veto*. Juliusz miał niepodległy charakter. Ogólnym zapałom porywać się nie dawał, bezustannych oklasków nienawidził, w serce niczyje nie wierzył, cierpiał na każdą, choćby najmniejszą wyższość w drugich. Przezroczyste krynice smiertelnie go nudziły; rad mącił je, daleko więcej bowiem bawił się wirami prochów na dnie osiadłych.

— Nic niema trwałego na świecie — mówił sam do siebie — i to serce, które dziś sławią pod niebiosa, zamyka się na pierwsze żądanie przyjacielskiej usługi, i ta wesołość na pozór bez granic, skurczy się w gniew za lada dotknięciem szpilki.

Więc aby prawdą słów wyprobować, jął zlekka otrząsać głownię niezgody. Szukał uczepki.

Tu i owdzie wyrywał się jeszcze toast na cześć Godolfina i jego następców. Inni o tymże samym przedmiocie toczyli rozmowy, wchodzili w drobne szczegóły, unosząc się nad każdym bez miary. Juliusz, wsparty zdaleka o ścianę, zadrasnął niby z niechcenia doskonałość Milorda.

— Grzbiet ma trocha spadzisty—mówił—wątpię, aby źrebięta po nim na co się przydały.

— Przyznaj się Julku — odparł Skałka — że nie widziałeś grzbietu; chyba na schodach.

— Przecieżem oczu w kieszeń nie chował. Powtarzam i dowiodę według wszelkich zasad hippiki: głowa piękna, przód niczego ale nie mówcie mi o grzbiecie, chyba żaden z was jak żyje, nie widział konia czystej krwi?

W istocie — przerwał Dzieduszycki, żaden z nas nic nie widział, ty sam jeden wszystko znasz, wszystko widziałeś.

— Wszystkiego nie znam, ale pokazuje się, że więcej niżeli wy widziałem i porównywałem. Wreszcie pójdziemy jutro do stajni, zaprosimy znawców, niech rozsądzą.

— Nietroszcz się Juliuszu, po co te śledztwa? — rzekł Wilczek, oparłszy się krzyżem na bilardzie i z jedną nogą podniesioną, krając ze sobą determinowany dublet — konia kupiłem, zapłaciłem; rad jestem z jego przymiotów, a może więcej jeszcze z wad. Co do źrebiąt, bądź spokojny; żadne z nich nie oszpeci twojego stada.

Obecni się uśmiechnęli; stado znawcy na koniach, wraz z dobrami, znajdowało się na księżycu. Juliusz zacisnął zęby; przymówka ostrzem uwięzła mu w piersiach.

Wiesz dobrze Władziu — rzekł — że nie mam stadniny. Na honor, gdybym się był spodziewał, że niewinny sąd o koniu w gniew cię wprawi, byłbym ust nawet nie otworzył.

— Ja, gniewam się?... nie więcej znasz się na ludziach, jak na koniach. Nie od dziś przecie z sobą żyjemy.

Wilczek chybił bilę, krew zaczynała podnosić mu się do mózgu; namaścił kij kredą i duszkiem wychylił szklankę starego węgrzyna.

— Cha, cha, dobrze ci tak! — mówił Skałka — przypinałeś ty, przypięli i tobie łatkę. Dopóty dzban wodę nosi, póki...

— Zgoda, zgoda — odparł Juliusz — jeżeli chcecie, abym chwalił, z zamkniętemi oczyma będę sypał pochwały. Słowa nic nie kosztują. Alleluja!.. Hosanna!... Od początku świata aż po koniec, nie było i nie będzie takiego konia jak Godolfin. Niegodne go ani Galicya, ani Lwów; do Wiednia z nim, do Paryża!... Kto go tu oceni?... gdzie na nim się pokazać?... Chyba na koronacyi, albo też... albo też... zapewne!... zgaduję teraz, w jakim celu Władyś sprowadził Angielczyka; wystąpi na nim w dniu uroczystym dla siebie i dla znakomitych swoich krewnych.

Wilczek przymrużył oko; słuchał, nie wiedząc czyli ma śmiać się czy gniewać.

— Cóż to za uroczystość?... — pytano do koła; wydajesz festyn Władziu i nikogo z nas nie zapraszasz?... wstępujesz może do Kamedułów?

— Nic nie wiem o żadnej uroczystości; niech was Juliusz zaprasza; on więcej wie ode mnie.

— O nieopatrzna młodzieży!... — mówił ostatni żartobliwie — liczysz gwiazdy, z butelką wprawdzie nie z teleskopem, a nie wiesz co dzieje się we własnym twoim domu. Czyliż dziś dopiero i ode mnie potrzebujecie dowiadywać się, że przyjaciel nasz wydaje za mąż swoją kuzynkę, że wesele pięknej Sokolniczanki wisi mu nad głową?

— Jakto, Władziu — wołało kilku z obecnych — ty kojarzysz to małżeństwo?... winszujemy!

— Z młodszym Porajem?... powiedzże nam czy prawda, co mówią w mieście?

Wilczek nasunął brwi; źrenice latały mu do koła, jako jaskółki przed burzą.

— Janku! — zawołał na służącego — zaprowadź tych panów do kancelaryi parafialnej i proś odemnie księdza, aby im natychmiast pokazał regestra. Kto ciekawy, czy moja kuzynka idzie za mąż i za kogo, niech rusza za chłopcem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zmiana Adresu!!
Mazowiecka № 5. 935-25-13

ST. PRZEZDZIECKI,

Przeniósł Magazyn Ubiorów dziecięcych, oraz Ubrań dla Uczniów *na Mazowiecką Nr. 5.*

Zmiana Adresu!!
Mazowiecka № 5.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów.** Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka"** wprost **do autora,** otrzyma jako **premium bezpłatne** dzieło wartości rs. **1** kop. **20.**

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski Kurs Niższy wyszedł z druku w 14 zeszytach, Kurs Wyższy zaś wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13.) Tak **Samouczek Francuski,** jak również **Rosyjski,** został opracowany na wyraźne **żądanie** i dopominanie się **Sz. Publiczności** i **Pp. Pedagogów.** Skład główny u autora **(v. Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 920-11-9



K. M. Schröder

Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—17

„CARMEN"

Nowa Pomadka VOGTA nadająca w **Mgnieniu Oka nieporównany połysk** wszelkim metalom, nadeszła do Składu **ADAMA KEMPIŃSKIEGO,** Ś-to Krzyska 39. róg Marszałkowskiej. Cena Kartonu zawierającego **36** pudełek 5-cio kop. **Rb. 1.26 k.** Dostać można wszędzie. 948-15-8

!!!WAŻNE DLA DAM!!!

MAGAZYN
Okryć Damskich
S. LEWI,

Niecała 12, I-e piętro.

Roboty wykonywają się przez krawców mężkich, podług ostatnich żurnali w najkrótszym terminie.

CENY NAJPRZYSTĘPNIEJSZE. 686-25-23

Złoto, Srebro i Brylanty

kupuję, wykupuję z lombardów (większych) i **płacę najlepiej,** 994-12-4

Biżuterję, Wyprawy srebrne nowe i odnawiane sprzedaję najtaniej, bo w mieszkaniu.

59, Nowy Swiat 59 m. 5

HENRYK JUWILER.

ZAKŁAD OGRODNICZY

Zygmunta Pełczyńskiego

w Warszawie, ul. Senatorska № 12.
były pałac Blanka
Ogród ulica Szczęśliwa № 6.

Przyjmuje wszelkie zlecenia w zakres ogrodnictwa wchodzące, a mianowicie: **Kosze, Bukiety, Wieńce, Żardynierki, Gierlandy, Dekoracje w domach i kościołach,** i t. p. 915-12-11

Ceny przystępne.

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-17

Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 1.

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
(CZYTELNIA)

w czterech językach, przy Księgarni i Składzie Nut **Alfreda Straucha i S-ki Niecała 8.** Poleca wielki wybór książek. Ostatnie nowości na składzie. Abonament 30 kop. miesięcznie. Zastaw za 3 książki 1 rubla. 974—12—6

NOWO OTWORZONY MAGAZYN MEBLI

F. OLSZEWSKIEGO

w Warszawie, Królewska № 9, parter wejście z bramy 5 dom od Krak. Przedm

POLECA:

Meble stolarskie solidnej roboty z gwarancyą piśmienną dwuletnią za pęknięcie.
Meble tapicerskie, bambusowe, **Dywany, Portjery, Serwety, Materace, Łóżka** żelazne **Wózki, Wanny** etc.

Ceny **nizkie** stałe oznaczone na każdym przedmiocie 921-12-11

Ekspedycya na prowincyę z opakowaniem.

Magazyn przyjmuje zamówienia na kompletne urządzenie całych mieszkań.

SPRZEDAŻ MASZYN DO SZYCIA

ulepszonego systemu SINGERA

na rozpłaty tygodniowe, za gotówkę 15% rab.

Józef RABINOWICZ

Leszno Nr. 24, m. 6. 821—25—20

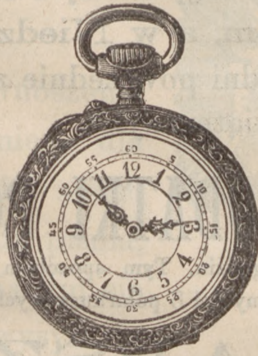
SZKOŁA RZEMIOŚŁ ŻEŃSKA
A. KORYCIŃSKIEJ,

Krakowskie-Przedmieście № 17, 163—6—5

przyjmuje uczennice na krój sukien, bielizny, szycie, haft, pończosznictwo, rysunki, malarstwo, wypalanie, koszykarstwo, introligatorstwo.—Przysposabiam nauczycielki do robót na pensje.—Patenty wydaje.—Pensjonarki przyjmuje.—Szkoła nagrodzona medalami: bronzowemi i złotym w Warszawie, w Petersburgu; w Czykago medalem i dyplomem uznania.

Najnowsze Fasony

!!TANIE, PRAKTYCZNE I KORZYSTNE!!



Ozdobne i trwałe kieszonkowe zegarki mężkie, odkryte, remontuar, t. j. nakręcane bez klucza, ze szkłem ochraniającym od kurzu, trwałym mechanizmem, grubo złocone, niczem nie różniące się od prawdziwych złotych, **z ozdobnym łańcuszkiem** z nowego złota amerykańskiego

TYLKO za 5 rubli.

Gwarancya piśmienna na 6 lat.

Zegarki, dokładnie wyregulowane, wysyłamy po otrzymaniu 1 rs. zadatku.

ADRES: **FIRMA HANDLOWA**
827—25—20 Braci WARKOWICKICH
Skład genewskich i francuskich zegarów w Warszawie, Królewska № 29.

Maurycy Lepersohn

Dzika 16 m. 16.

Wykwalifikowany za granicą, poleca wykonane akuratnie podług najświeższych fasonów

Okrycia Damskie i Wierzchy do futer.

Tak z własnych jak powierzonych materjałów
1003-12-5

NOWY ZARZĄD

CZYTELNIA DLA KOBIET

Warecka 9.

Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—19

Wysyłka na prowincyę.

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI

dawniej
M. SZYMAŃSKI

Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych
w Warszawie, Senatorska № 10

poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-8

ZAKŁAD GALWANICZNY
JANA ZABOKLICKIEGO
b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"
Senatorska № 28-30,
(dom Hr. Zamojskiego)
Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.
894—25—20

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.

Specyalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-16

Nowo-otworzony
MAGAZYN MÓD

KAZIMIERY

ulica Świętokrzyzka Nr 32,
828—26—20 w Warszawie.

Uprasza się o zwrócenie uwagi na niebywałej dobroci

CUKRY DESSEROWE.

NOWO-OTWORZONEJ FABRYKI CZEKOLADY.

i Cukrów Desserowych.

TEODORA KOZIŃSKIEGO

Marszałkowska 123. 931-25-8

Ceny nizkie.

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

Bronisławy Müller
(Bednaskiej)

przeniesiona została z ul. Aleksandrya **na Świętokrzyską N-r. 17**
973—25—7



MAGAZYN
obuwia mężkiego, damskiego i dziecinnego
i kaloszy

K. CHMURKOWSKI

ul. Mazowiecka N-r 6 w Warszawie.

PP. Studentom i Pensyonarkom ustępuje 5% rabatu.
942—25-9

SPECYALNY SKŁAD

Podszewek oraz wszelkich przyborów dla pp. Magazynierek 859—20—17

TOWARY NORYMBERSKIE

Antonina Plichta

Ś-to Krzyżka № 8.

CENY NAJNIŻSZE.

DOM HANDLOWY

Sprzedaży gotowej garderoby męskiej, posiadający swobodne i obszerne pomieszczenie na jednej z lepszych handlowych ulic Moskwy

proponuje
P.P. handlującym

Zwierzchniemi Okryciami Damskiemi

powierzenie mu reprezentacyi zbytu przedmiotów **konfekcyi damskiej,** komis i t. d. co uwarunkowywanę być może drogą porozumienia się. Na towary oddane w komis — gwarancya!

Interesowani adresować raczą sub:
„**MOSKWA 1898**" do domu handlowego
L. i E. METCL & C[o] w Moskwie
1015-2-2

„GABRYELA"

Magazyn kapeluszy damskich i dziecinnych,
Pracownia sukien
I NAUKA KROJU
oraz NAUKA STROJOW.

Chmielna N-r 19, mieszkania 10.
814—25—21

ZAKŁAD SZCZOTKARSKI

Józefa Wasilewskiego,

Egzystujący od r. 1889 w okolicy placu Ś-go Aleksandra – znacznie powiększyłem i przeniosłem do nowo-otworzonego Sklepu

przy ul. Mokotowskiej № 55.

Daje wyroby trwałe.

Ceny przystępne.

Wincenty Węgierski

Freta Nr. 13

Długoletni współpracownik firmy
854-26-17 **B. HERSE**
otworzył pracownię

Sukien i Okryć damskich

SKŁAD NICI I TOWARÓW NORYMBERSKICH

Stanisławy Banarskiej

Bracka 10.

Poleca: szlafroczki, bluzki i matinki od rs. 2 do rs. 6 50 kop. Halki od 1 rs. 50 kop. do 10 rs. i wyżej. Krawaty i mankiety damskie i mężkie, kokardy i żabociki, oraz w wielkim wyborze wszelkie towary galanteryjne, norymbergskie, perfumy, mydła, pudry, biżuteryę sztuczną, rękawiczki, kalosze, etc. 993—6—4